

Konfuzje rozczarowanego socjaldemokraty

Nie widać powodów, dla których miałbym ukrywać to, że zaproszenie do dyskusji nad esejem prof. W. Niecińskiego najpierw mile pojechało moją próżność, potem zaś skłoniło do refleksji, wedle której Redakcji PPS (zbieżność skrótów przypadkowa!) zdarzyło się „zaproszenie z tezą” – jaki bowiem inny mógłby być powód, dla którego pytać o poglądy socjologa zajmującego się całe swoje zawodowe życie mrocznymi stronami naszego społeczeństwa. Więc, pomyślałem sobie, zostałem zaproszony do dyskusji nad tekstem, który realia życia zbiorowego traktuje jako problem społeczny domagający się takiego czy innego rozwiązania, a w każdym razie – podjęcia prób jego rozwiązywania. Ale – żeby oprzeć się próbie wpisania własnej biografii w ten schemat – przypomniałem też sobie o tym, że zajmowałem się również aplikacyjnymi funkcjami wiedzy gromadzonej w naukach społecznych i uznałem, że warto zastanowić się nad tym, co pisze prof. Nieciński, także z tego punktu widzenia.

Otóż, najwyraźniej bieg czasu i gromadzone doświadczenia prowadzą nas do rozbieżnych wniosków. Prawdę mówiąc, zdumiał i wzbudził moją zazdrość młodzieńczy entuzjazm autora, który ciągle chce wierzyć w to, że rozmaite próby zrozumienia rzeczywistości są nie tylko mniej czy bardziej subtelną „grą w szklane paciorki”. szlachetnym przedsięwzięciem, w którym ceni się przede wszystkim intelektualną finezję i analityczne mistrzostwo, lecz także zabiegiem służącym wyznaczaniu biegu spraw publicznych. Traktuję tego rodzaju myślenie z sympatią – choćby dlatego, że sam od niego zaczynałem – więcej nawet, sądzę, że wypowiedzanie się w sprawach publicznych to część zawodowego obowiązku, ale też wielokrotnie miałem okazję obserwować, jak często – gdy pozbawiona pokory – realizacja tego obowiązku kończy się doktrynerstwem, zawieraniem nieładnych sojuszków po to, aby swoją prawdę wcielić – i gorzkimi rozczarowaniami, gdy się to nie udaje. Więc – choć mógłbym sobie powiedzieć, że nic właściwie mi do tego, jakie to „zadania” wyznacza prof. Nieciński ideologicznej czy politycznej lewicy (nawiasem mówiąc, sam Autor ma najwyraźniej kłopot z adresowaniem swoich „zadań”, bo aktualna praktyka partii socjaldemokratycznych najwyraźniej nie budzi jego entuzjazmu) – to preskryptywna formuła jego wywodu powoduje, że nie bardzo mam ochotę ten wywód akceptować. Znacznie bliższe mojemu myśleniu byłoby rozumowanie oparte na nieco innej logice, rozumowanie, w gruncie rzeczy, analityczne, mówiące tak mniej więcej: *jeżeli uznacie, że stoją przed wami takie to a takie zadania, to można je osiągać na kilka rozmaitych sposobów, każdy z nich wymaga spełnienia określonych warunków wstępnych, każdy będzie się wiązał z określonymi kosztami i z koniecznością uruchomienia tych czy innych zasobów, jeśli nimi dysponujecie i chcecie ponieść te koszty, to możecie się zabrać do pracy – choć powinniście też zdawać sobie sprawę z tego, że dla dziesiątka rozmaitych powodów, nikt i nic nie może dać wam*

gwarancji sukcesu. Nie do mnie należy jednak pouczanie kogokolwiek o jego „zadaniach”!

Ale, nie tak, obawiam się, chciałby swoją refleksją sterować prof. Nieciuiński. Marzy mu się mniej czy bardziej abstrakcyjny sojusz jakoś wyidealizowanej, prawdziwej lewicy z politycznymi siłami centrum, ba – ustala on nawet wstępne warunki zawarcia takiego sojuszu – i stworzenie orientacji socjalliberalnej. Jakkolwiekby na sprawę nie spoglądać – dochodzimy w ten sposób do prób formułowania zarysu programu politycznego i – niezależnie od tego, jak bardzo wydaje mi się ten program nierealistyczny – mieszamy płaszczyzny dyskusji. Mówiąc najkrócej, wcale nie jestem przekonany, że dyskusję o charakterze politycznym chciałbym prowadzić w piśmie o charakterze akademickim – nawet jeśli jest ono poświęcone problematyce tak bliskiej rzeczywistości, jak polityka społeczna.

Więc aby sformułować wyraźnie argument krytyczny, wypada powiedzieć, że esej prof. Nieciuińskiego ma dwie warstwy: analityczną oraz ideologiczną i programową. Obie nie są od siebie dostatecznie starannie rozdzielone – co łatwo może zniechęcić i tych, którzy szukają sobie racji dla swego politycznego działania, i tych, którzy chcieliby koncentrować się na meandrach myślenia autora – analityka. Tych pierwszych zirytuje ogólnikowość pomysłów o charakterze politycznym, tych drugich ideologiczny kontekst analizy.

Gdyby teraz przejść do tego, co mam w tekście za interesujące – to jest do warstwy analitycznej – to chciałbym wskazać, że – nie wdając się w spór o poprawność diagnostycznych tez prof. Nieciuińskiego – proponowana przezeń logika myślenia ma charakter statyczny. Autor opisuje wprawdzie zmiany, wskazuje na ich uwarunkowania i konteksty, ale analizuje te zmiany jako serię diachronicznie uporządkowanych stanów rzeczy, nie zaś jako proces, na który składają się rozmaite tendencje, a rezultaty jego poszczególnych faz stanowią tyleż konsekwencję rozmaitych programowych przedsięwzięć, ile okoliczności przypadkowych. Powiada, na przykład, Autor, że „nie zostały uzyskane warunki pomyślnego, dalszego trwałego rozwoju w gospodarce (...) państwo jest nadal niedostatecznie sprawne”, i zapewne ma rację. Jest to jednak racja statyczna – tak jest rzeczywiście, ale to jedynie część prawdy. Część druga – to uświadomienie sobie tego, jak wiele się w tej dziedzinie zmieniło i zmienia, po trosze na lepsze, po trosze na gorsze – ale się zmienia. (Któż to, Panie Profesorze, proszę mnie wspomóc swoją erudycją, miał powiedzieć: „cel jest niczym, ruch jest wszystkim!”?) Analityczna finezja mogłaby – w tym przypadku – polegać nie tyle na stwierdzeniu tego, że nie jest najlepiej, lecz na pokazaniu tendencji zmian. Otóż, wiele można byłoby napisać o powodach, dla których mniej czy bardziej zasadnie jesteśmy niezadowoleni ze stanu spraw publicznych, ale przecież nie do obrony byłaby teza, wedle której w rzeczywistości Polaków tkwią jakieś zasadnicze mechanizmy zmieniające ją tylko na gorsze. Możemy się zgadzać lub nie w kwestii bilansu strat i zysków, możemy utrzymywać, że część z tych strat, czy kosztów osiągnięcia odpowiednich zysków, jest zbyt bolesna i zbyt wysoka, aby było je warto ponosić – i nie jest wykluczone, że w tych kwestiach łatwiej byłoby mi uzyskać z Autorem porozumienie – ale nie możemy stwierdzić tego, że istnieją jakieś zasadnicze, strukturalne przesłanki naszej zbiorowej porażki. Zapewne, wiele bieżących decyzji, ba – nawet wiele trwalszych – bo lansowanych

przez kolejne ekipy polityczne – pomysłów wydaje mi się nietrafna bądź przedwczesna lub oparta na kompulsji, jaką rodzą polityczne kompleksy prymusa, ale przecież nie ma w tym nic dziwnego. Co więcej, warto ze spokojem dostrzec i to, że duża część tych irytujących pomysłów szczęśliwie nigdy nie przedostaje się poza granice retoryki stosowanej w medialnych debatach, a realia, żmudnie i z różnymi zgrzytami, zmierzają raz w tym, raz w tamtym, ale najogólniej rzecz biorąc, w sumie, w dobrym kierunku. Budzi nasze protesty, na przykład, skala nierówności społecznych i dynamika ich narastania, ale zarazem wiemy też, że powoli i ona zaczyna wygasać, może wolniej, niż byśmy tego chcieli, niemniej – jest to już zjawisko zauważalne. Autorzy serii EU-Monitoring, redagowanej przez J. Hausnera i M. Marody, przytaczają w tomie V (s. 104) następujące dane o dynamice współczynnika Giniego: 1991 – 0,242, 1992 – 0,247, 1993 – 0,257, 1994 – 0,281, 1995 – 0,288, 1996 – 0,295, 1997 – 0,301, 1998 – 0,293, 1999 – 0,305. Inne dane sugerują też, że na wielkość tego wskaźnika zasadniczy wpływ mają nierówności społeczne na wsi, w miastach stopniowe wygasanie jego dynamiki jest jeszcze wyraźniejsze. Podobnych przykładów można przytoczyć więcej i – choć niczego za ich pomocą nie da się udowodnić – to można mieć nadzieję, że w podstawowych mechanizmach kształtujących strukturę polskiego społeczeństwa nie tkwią przesłanki naszej zbiorowej klęski. Bardzo wyraźnie widać na przykład to, że w ostatnich latach wzrosła nierówność szans edukacyjnych w dostępie do wyższego wykształcenia, ale zarazem – widać też i to, że uniwersalizował się w znacznym stopniu dostęp do wykształcenia na poziomie średnim, co też jest powodem do radości.

Powiada Pan Profesor, że modernizacja polskiego społeczeństwa ma służyć członkostwu w UE i przeraża Pana ogrom związanych z tym zadań. Jeśli przyjąć tę perspektywę – to wszystko wskazywałoby na to, że ćwiczenie z integracji europejskiej można byłoby sobie darować. Ale, można też spoglądać na zagadnienie odwrotnie i utrzymywać, że to właśnie procesy integracji europejskiej mogą się stać potężnym impulsem modernizacyjnym. Właściwie – już się stały, już wymusiły na wielu przedsiębiorstwach i na wielu przedsiębiorcach podjęcie zabiegów modernizacyjnych. Część z nich – plując krwią, niefortunnie, częściej swoich pracowników, rzadziej własną – wysiłki te podjęła, na wsi jednak coś się dzieje, itp. To prawda, możemy prowadzić spór o koszty, o mniej czy bardziej sprawiedliwe rozłożenie ciężarów modernizacji, ale przecież nie o to tu idzie!

Trafna – i warta starannej analizy jest też i ta myśl Autora, która studzi modernizacyjny zapał wskazaniem, że rozmaite cechy społeczeństw, do których chcemy się upodobnić, niekoniecznie muszą budzić szczególny entuzjazm i stają się przedmiotem dość powszechnej krytyki – wystarczy tu wskazać, na przykład, na procesy społecznego wykluczenia, które są wbudowane w strukturalne mechanizmy rynkowych, demokratycznych, „otwartych” społeczeństw, a zatem, na procesy, których wyhamować się nie da bez pomniejszania ich rynkowości, demokratyczności czy otwartości. Mówiąc inaczej, choć wykluczenie ludzi i całych segmentów struktury społecznej z rozmaitych dobrodziejstw podziału rodzi aksjologiczny sprzeciw, to jest to zjawisko – w durkheimowskim sensie terminu – normalne, bo powszechne i wbudowane w logikę funkcjonowania systemu społecznego. Ale, uruchamiając procesy modernizacyjne, warto zdawać sobie sprawę, że ma-

ją one charakter pakietowy – nie da się wyjadać z modernizacyjnego dania tego tylko, co w nim najsmaczniejsze. Krótko – społeczeństwo polskie, stając się społeczeństwem bardziej normalnym, bierze na siebie także ciężary tej normalności i dźwiga je razem z innymi społeczeństwami, świadomymi przecież własnej niedoskonałości. Myśleć inaczej oznacza uleganie kolejnej wersji propagandy sukcesu, a zatem, propagandy, która zamulała myślenie co bardziej naiwnych „tranzytologów” w początkach lat '90.

Za najważniejszą jednak i wartą starannego namysłu uważam inną tezę zawartą w tekście prof. Niecińskiego. Jest to, jak sądzę, myśl mówiąca, że kluczowym warunkiem sukcesu polskiej modernizacji są nie lepsze czy gorsze instytucje – te można poprawiać niejako „w biegu” (choć, oczywiście, lepiej byłoby nie popełniać instytucjonalizacyjnych błędów) – lecz to, co kryje się w ludziach, ich postawach, orientacjach, poziomie indywidualnego dynamizmu itp. – słowem to wszystko, co składa się na zbiorową zaradność Polaków. Pyta Autor o to, „czy można oczekiwać takiej mobilizacji i podniesienia aktywności obywatelskiej (...) aby uzyskać daleko idącą zdolność wykorzystania szans jakie otwórzy akcesja do Unii?, a też i o to „czy poziom wzrostu »kapitału ludzkiego« będzie dostateczny, aby społeczeństwo było w stanie zrealizować te wszystkie zadania modernizacyjne?”. Są to pytania o zupełnie zasadniczym znaczeniu, a ich wyraźne postawienie mam za ważny krok w kierunku wyznaczenia ważnego obszaru publicznej debaty i ważny fragment wywodu prof. Niecińskiego. Za jeszcze ważniejsze zagadnienie, uważam rysującą się w tekście tezę mówiącą, że ład społeczny, jaki wyłania się z poczynań kolejnych ekip politycznych kierujących procesami polskiej transformacji, nie sprzyja ożywianiu obywatelskiej aktywności. Mniejsza o to, czy jest to teza trafna, ważne wydaje się dostrzeżenie tego, jak wielkie znaczenie dla sukcesu modernizacyjnego ma swoista współmierność tego, co w tych sprawach robią instytucje państwowe i tego, co stanowi przedmiot codziennej krzątaniny Polaków. Otóż, wiele, moim zdaniem, wskazuje na to, że Polacy radzą sobie ze swoim życiem nadspodziewanie dobrze, choć – niefortunnie – w dużej mierze robią to „obok” państwa, niekiedy – wbrew niemu – i stosunkowo rzadko razem z nim.

Jeśli jest to obserwacja trafna, to nie pozostaje mi już nic innego, jak tylko przypomnieć, że jest to problem stary – może nie jak świat – ale z całą pewnością należący do klasyki myśli politycznej. John Stuart Mill – przecie nie socjaldemokrata – pisał mianowicie tak: „Działalność rządu nigdy nie jest zbyt szeroka, jeśli nie hamuje, lecz popiera i pobudza usiłowania i rozwój jednostek. Zło zaczyna się dopiero wtedy, gdy rząd, zamiast wspomagać działalność i siły jednostek i grup, zastępuje je swoją własną działalnością (...) państwo, które pomniejsza swoich obywateli, aby byli posłusznymi narzędziami w jego rękach, choćby nawet dla dobroczynnych celów – przekona się, że nie można dokonać żadnych wielkich rzeczy z małymi ludźmi...”

Myślę, że o takie właśnie, świadome przestróg Milla, państwo i społeczeństwo upomina się prof. Nieciński, nawet gdyby z klasykiem liberalizmu było mu nie po drodze.